

WINCENTY BOGDANOWSKI

MOJE WSPOMNIENIA (czasy gimnazjalne)*

1.

Wśród burzliwej przeszłości wojennej naszej ojczyzny poszła w zapomnienie, a nawet zaginęła część dokumentów, dlatego niejednokrotnie z okruszków tych dokumentów buduje się obraz naszej zamierchłej przeszłości.



*Wincenty Bogdanowski
(1894–1982)*

Tradycja ustna przechowuje się dość długo, ale z ubytkiem najstarszych świadków, kurczy się pamięć, zaciera się obraz i staje się w końcu legendą, na czym cierpi prawda dziejowa, podawana później w wątpliwość z braku dowodów.

Aby więc zostawić dla przyszłości dokładniejszy obraz pewnych wydarzeń, w których brałem bezpośredni udział, powziąłem myśl systematycznego spisywania ważniejszych wypadków. Przechodząc myślą poprzez moje życie, wydaje mi się, iż zachodzące w tym czasie wypadki i wydarzenia stają się legendą. Ktoś obcy patrzący i obserwujący moje życie nie uwierzyłby, że wiejski chłopiec przejdzie w czasie swego życia różne szczeble: i tak w życiu ekonomicznym zostanie dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa

* Fragment wspomnień przechowywanych w Oddziale Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej. Notkę biograficzną o ich Autorze zamieszczamy w dziale „Materiały do słownika regionalistów”.

przemysłowego, zaś w życiu społecznym ukończy wyższe studia i dojdzie do stanowiska wiceprezydenta miasta Krakowa.

Urodziłem się w 1894 roku – a więc za panowania cesarza Franciszka Józefa I – we wsi Ślemień (pow. Żywiec), w ówczesnej Galicji Zachodniej.

Wieś Ślemień należała wówczas do tak zwanego państwa ślemieńskiego, leżąc niejako w wielkim wąwozie górskim, którego południową stronę zamykały piękne lasy Habsburgów z Żywca, z północnej zaś strony – lasy państwa susko-ślemieńskiego (własność Branickich z Suchej). Takie usytuowanie wsi było bardzo korzystne dla jej mieszkańców, średnio i małorolnych; stwarzało bowiem możliwość zarobków w lasach, zwłaszcza w porze zimowej.

Do roku 1905 były tu urzędy takie jak: urząd podatkowy, sąd powiatowy, urząd pocztowy, posterunek żandarmerii, a ponadto hurtownia tytoniowa. Dookoła niewielkiego rynku mieściły się sklepy, przeważnie żydowskie. Na zachodniej części rynku rozsiadła się olbrzymia karczma w pięknym staropolskim stylu, która dotrwała do końca II wojny światowej, lecz później została przez tamtejszych chłopów rozebrana, ku wielkiemu żalowi konserwatora, gdyż takiej karczmy dziś się już prawie nigdzie nie widzi. Za moich młodych lat była tu jeszcze w dość dobrym stanie huta żelaza czy szkła, przypuszczalnie z czasów księdza St. Staszica; dziś pozostały tylko ruiny tego zabytku.

Tu ukończyłem dwuklasową szkołę, zwaną wówczas powszechną, po czym rodzice postanowili wysłać mnie do gimnazjum w Wadowicach. Wiem, że było to dla nich prawie ponad siły; było nas bowiem ośmioro dzieci, a skromne dochody dziesięciomorgowego górskiego gospodarstwa i małego wiejskiego sklepiku pokrywały zaledwie normalne domowe wydatki.

Tak jednak rodzice, jak i starsze rodzeństwo dokładali starań, aby umożliwić mi studia w gimnazjum, a po ukończeniu tychże, iść do seminarium duchownego, by zostać księdzem.

Muszę jednak stwierdzić, że życzenie całej rodziny, aby zostać księdzem, nie pochodziło z intencji finansowych według ówczesnego powiedzonka i opinii, *że kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie*, lecz z życzenia osiągnięcia według ich mniemania wysokiej kariery życiowej. Niestety, księdzem nie zostałem ku wielkiemu żalowi zwłaszcza mojej matki.

Jak już wspominałem do roku 1905 w Ślemieniu mieściły się urzędy nadające wsi charakter małego miasteczka.

Przez Ślemień jednak nie prowadziła trasa kolejowa, przeto zaczęto się starać, aby przebiegała ona przez Ślemień i gęsto zaludnione wsie na trasie Żywiec – Sucha.

Jednak interesy Habsburgów wymagały, aby przez tereny nie leżące na trasie ich lasów prowadziła linia kolejowa. Staraniem i wpływami tychże Habsburgów z Żywca przeprowadzono trasę kolei żelaznej właśnie wzdłuż lasów i majątków, zabezpieczając ich interesy, mimo że ta nowa trasa prowadziła przez

mało albo prawie nie zaludnione okolice. Interesy Habsburgów ścierały się z interesami hrabiów Branickich z Suchej, wskutek tego niejednokrotnie zachodziły między nimi zabawne incydenty.

Chociaż w 1906 roku wyfrunąłem z rodzinnego gniazda, udając się do gimnazjum w Wadowicach, by zostać księdzem, to jednak w ciągu całego mojego życia wracałem tu to myślą, to – w miarę możliwości i wolnego czasu osobiście, a później z rodziną choć na parę dni, by odwiedzić kościółek zwany małą Jasnogórką, leżący na wzgórzu wśród lasów, lub wiejski cmentarz przy kościele parafialnym, gdzie spoczęli moi ukochani rodzice.

2.

By dostać się do gimnazjum, trzeba było złożyć egzamin wstępny. Obawiali się rodzice, że wiadomości nabyte w dwuklasowej szkole w Ślemieniu okażą się niedostateczne, by zdać wspomniany wstępny egzamin. Wysłali mnie więc do mojej chrzestnej matki, żony organisty w Gilowicach, która uprosiła kierownika szkoły w Rychwałdzie w sąsiedniej wsi, by mnie przygotował do egzaminu. W czasie więc dwumiesięcznych wakacji uczęszczałem na lekcje do Rychwałdu.

Na egzamin zawiózł mnie mój ojciec furmanką do Wadowic i odprowadził do gimnazjum. Miał jednak widocznie nadzieję, że zdam egzamin, gdyż przywiózł również kuferek z najpotrzebniejszymi moimi rzeczami, łóżko, siennik i w ogóle wszystko, co mogło mi być potrzebne w razie zatrzymania się w Wadowicach.

Jakoś szczęście mi dopisało, gdyż zdałem egzamin i stałem się uczniem pierwszej klasy gimnazjum wadowickiego. Ojciec umieścił mnie na stacji u pp. Grudniewiczów i tak zaczęło się moje nowe życie. Spłakałem się oczywiście przy pożegnaniu, gdyż była to pierwsza moja rozłąka z rodzicami, rodzeństwem i tak kochanym domem rodzinnym.

Stacja nasza miała dwa pokoje: w jednym frontowym umieszczono pięciu starszych kolegów z klas szóstej i siódmej, mnie zaś i trzech pierwszaków – w pokoju od podwórza. O ile my pierwszoklasiści zżyliśmy się dość prędko, to stosunek nasz do starszych kolegów z frontowego pokoju nie był pozytywny. Po prostu staliśmy się chłopcami do posług starszych kolegów.

W pierwszej klasie było nas bardzo dużo, wobec tego podzielono nas na trzy oddziały A, B, C. Mnie zaliczono do oddziału B. Nauka szła mi dość łatwo, choć miałem duże braki, zwłaszcza w ortografii. Z czasem jednak uporałem się z trudnościami i odtąd zadania moje z języka polskiego nie były już podkreślane czerwonym atramentem.

Zauważyłem zaraz na początku, że w oddziale A usadowili się chłopcy pochodzący przeważnie z Wadowic czy okolicznych miasteczek, my zaś, „wsiuchy”, zapełnialiśmy oddziały B i C. Trzeba przyznać, że profesorów miałem dobrych; nie robili żadnych różnic między chłopcami pochodzącymi z inteligencji a tymi z innych środowisk, zwłaszcza wiejskich.

Mimo prawie sześciotygodniowej choroby przeszedłem do klasy drugiej i z wielką dumą i radością przyszyłem sobie na kołnierzu bluzy dwa srebrne paski. Muszę tu dodać, że w Galicji obowiązywał w gimnazjum mundurek, złożony z granatowej bluzy i czerwonych spodni. Uczniowie klas od pierwszej do czwartej nosili na kołnierzu paski srebrne od jednego do czterech, zaś uczniowie od klasy piątej do ósmej – paski złote, również od jednego do czterech.

Obserwując życie studenckie, tak w szkole, jak i w domu, nauczyłem się wiele. Spośród kolegów z klasy pierwszej nie zapamiętałem żadnego, natomiast zapamiętałem kończącego już wtedy ósmą klasę gimnazjalną – mianowicie Emila Zegadłowicza, już wtedy zapowiadającego się poetę, z którym później – zwłaszcza w latach międzywojennych – miałem sposobność się spotykać i rozmawiać.

Głodno i nieraz chłodno było na stancjach, które zresztą dość często zmieniałem. Zaczęłem tęsknić za otrzymaniem jakichś korepetycji, aby sobie poprawić nieco moją sytuację materialną, aby mieć choć tyle gorsza do dyspozycji, by kupić sobie coś do jedzenia, gdy byłem głodny, a takim byłem bardzo często.

Moje marzenia spełniły się, bo już w klasie trzeciej otrzymałem korepetycje, za które otrzymywałem po dziesięć koron miesięcznie. W trzeciej klasie wciągnięto mnie również do tajnej organizacji zwanej kołem samokształcenia.

W każdej klasie istniało zakonspirowane koło liczące około ośmiu uczniów, prowadzone przez kolegów z wyższych klas, którzy przewodniczyli, prowadzili dyskusje z członkami koła, kierowali pracą, wyznaczali lub wskazywali tematy do następnej dyskusji. Organizacja posiadała zakonspirowaną bibliotekę, zawierającą broszurki o tematyce społecznej, politycznej, czy gospodarczej, których w bibliotece gimnazjalnej nie było. Bibliotekę często przenoszono i była przeważnie przechowywana tam, gdzie mieszkał starszy członek organizacji. Tam też w izdebce studenckiej na stacji odbywały się pod różnymi pozorami zebrania [...]

Bezpośredniego kontaktu z gronem nauczycielskim nie było, jednak byli wśród tego grona przyjaciele, którzy w sposób pośredni wspomagali pracę organizacyjną. Do nich należeli – o ile dobrze pamiętam – prof. Henryk Gawor, Józef Kremer, a zwłaszcza Kiliński, nasz profesor literatury polskiej.

Dwa razy w tygodniu, po południu, przez jedną godzinę miała każda klasa ćwiczenia gimnastyczne w tamtejszym „Sokołe”. Piękne to były chwile, spędzone tam nie tylko na ćwiczeniach, lecz przede wszystkim na wieczorkach i porankach, jakie urządzano z okazji różnych uroczystości patriotycznych.

Idee „Sokoła” można streścić w przemówieniu prezesa wadowickiego „Sokoła”, wygłoszonym z okazji jednej z uroczystości:

Jednością silni i działaniem silni, karnością i równością zjednoczeni, ogrzani miłością Boga i Ojczyzny nie poskapimy pracy ni ofiary, aby raz rozpoczęte dzieło wzrastało, obejmując coraz to szersze warstwy ludności, doprowadziło w końcu do upragnionego celu – odrodzenia naszej ojczyzny i zobaczenia jej wolną i niepodległą.

Tu w „Sokole” koncentrowało się życie kulturalne miasta. Zwyczajowym obowiązkiem siódmej klasy gimnazjalnej było urządzenie w „Sokole” wieczorków dla uczczenia trzech wieszczów oraz poranków ku uczczeniu rocznic powstań narodowych i Trzeciego Maja. Brałem udział w jednym z takich wieczorków ku czci Juliusza Słowackiego. Wybrano jego sztukę *Kordian*. Przedstawienia takie odbywały się bardzo uroczystie. Słowo wstępne wygłaszał zwykle profesor literatury polskiej lub jeden z uczniów wyższych klas, w przerwach grała orkiestra gimnazjalna mieszana.

Będąc w klasie siódmej, zostałem wybrany prezesem czytelnicy studenckiej, równocześnie zaś byłem kierownikiem orkiestry gimnazjalnej. Orkiestra dęta brała udział w pochodach z okazji różnych świąt narodowych, zwłaszcza Trzeciego Maja, w których to obchodach brali udział nie tylko uczniowie wszystkich szkół w Wadowicach, lecz również organizacje zawodowe, społeczne. Orkiestra mieszana to orkiestra złożona z instrumentów dętych, skrzypiec, wiolonczeli, kontrabasów i innych; urządziła raz w roku przed świętami wielkanocnymi tak zwaną wentę, połączoną z koncertem na dochód i cele tejże orkiestry. Uproszczone panie zajmowały się urządzeniem tejże wenty, zbierając fanty i dary, które mieszczaństwo chętnie na ten cel ofiarowało. Jako kierownik orkiestry miałem kilka razy przykrą scysję z ówczesnym dyrektorem gimnazjum Dorozińskim. Raz zorganizowałem capstrzyk, w którym wzięły udział tłumy mieszkańców i uczniów ze wszystkich szkół. Ponieważ capstrzyk odbył się w przededniu uroczystości trzeciomajowych, więc spotkała mnie nagana za to, że orkiestra wzięła udział w pochodzie bez wiedzy i zezwolenia dyrektora.

Ważnym członkiem orkiestry był Józef Putek, członek Polskiego Stronnictwa Ludowego, późniejszy poseł, a nawet minister z ramienia tegoż Stronnictwa. Był on już wtedy znanym działaczem PSL w Choczni koło Wadowic. Z jego inicjatywy powstał dom ludowy w Choczni, który miał być otwarty w dniu 3 maja. Na otwarcie tegoż zaproszono naszą orkiestrę. I znów bez pozwolenia dyrektora poszedłem z całą orkiestrą na otwarcie domu ludowego, co spowodowało kolejne nieporozumienie z dyrektorem.

Jakoś nie miałem szczęścia do dyrektora Dorozińskiego.

W naszej siódmej klasie (był już tylko jeden oddział) wybuchł strajk. Powód zaś do niego był następujący: naukę języka greckiego poruczono profesorowi Cieżowi, który świeżo przybył z Nowego Sącza, z opinią człowieka, który dużo dwój daje. Powstał strach wśród słabszych uczniów, zwłaszcza wśród tak zwanych paniczyków, synów osób zajmujących poważne stanowiska w mieście; więc słabsi koledzy, obawiając się, że nie dojdą w tych warunkach do matury, namówili resztę kolegów na wysłanie do dyrekcji żądania usunięcia profesora Cieża. W razie nie uwzględnienia tego żądania zagrożono strajkiem.

Jak należało przypuszczać, dyrekcja żądanie takie zignorowała, wobec czego wybuchł zapowiadany strajk, trwający prawie sześć dni. Komitet

strajkowy, do którego ja zostałem wybrany, zwrócił się z odpowiednio umotywowanym pismem do Rady Szkolnej Krajowej w Lwowie z prośbą o pomyślne załatwienie żądania strajkujących, obwiniając dyrektora o bezprawne rozwiązanie siódmej klasy. Dyrektor bowiem, skoro na jego żądanie nie powróciliśmy do szkoły, rozwiązał siódmą klasę, co niewątpliwie groziło nam albo poniechaniem dalszych studiów albo koniecznością przeniesienia się do innych gimnazjów, co oczywiście nie było sprawą łatwą.

Przybyły jednak delegat Rady Szkolnej po porozumieniu się z dyrekcją oraz rodzicami niektórych uczniów częściowo zażegnał konflikt, polecając usunąć profesora Cieża, ale dopiero po ukończeniu roku szkolnego, cofnąc zaś zarządzenie o rozwiązaniu klasy. Zatem po tak niebywałym – jak na owe czasy – incydencie życie nasze studenckie potoczyło się dalej.

Zgodnie z zarządzeniem delegata Rady Szkolnej w ósmej naszej klasie naukę języka greckiego objął inny profesor, a mianowicie Tadeusz Niespodziański, który doprowadził nas już do matury.

W klasie ósmej miałem znów zatarg z dyrektorem. Jak już wspomniałem, tradycyjnym zwyczajem siódma klasa miała urządzić poranek dla uczczenia rocznicy powstania listopadowego oraz wieczorku ku czci jednego z trzech wieszczów. Siódma klasa jednak, będąc pupilkiem dyrektora, odmówiła urzędzenia powyższych uroczystości, wobec tego my, ósma klasa, podjęliśmy się starań, aby tradycji stało się zadość. Postanowiliśmy przede wszystkim urządzić poranek dla uczczenia rocznicy powstania listopadowego.

Będąc prezesem czytelnicy studenckiej, ogłosiłem za zgodą profesora Kilińskiego jako kuratora czytelnicy konkurs na wiersz dla uczczenia właśnie tej rocznicy.

Jury przyznało pierwszą nagrodę mnie, drugą nagrodę zaś koledze Andrzejowi Pyce. Oba te utwory były deklamowane właśnie na poranku listopadowym.

Pamięć wieszca Słowackiego uczciliśmy wystawieniem scenicznym *Ojca zadżumionych* wśród pięknej dekoracji, która była dziełem naszych kolegów.

Ostatnim występem naszej ósmej klasy i moim było urządzenie poranku dla uczczenia rocznicy Trzeciego Maja. W pięknie udekorowanej sali „Sokoła” zebrał się nie tylko uczniowie wszystkich szkół, lecz również przedstawiciele całego społeczeństwa wadowickiego. Poranek rozpoczął się koncertem orkiestry, po czym wygłosiłem obszernie słowo wstępne i referat o Konstytucji 3 Maja, przyjęty wielkimi oklaskami przez zebraną publiczność. Następnie jeden z uczniów klasy trzeciej zadeklamował mój wiersz, zaś wiersz kolegi Pyki zadeklamował uczeń z klasy ósmej. Pieśni odśpiewane przez nasz chór studencki zakończyły piękną i dla mnie niezapomnianą uroczystość, gdyż mój występ był niejako pożegnaniem Wadowic, w których spędziłem najpiękniejsze lata młodości. Przemówienie moje na poranku nie podobało się jednak dyrektorowi, tym bardziej że znalazło ono wyraz w ówczesnym poczytnym dzienniku „Nowiny”; wezwał więc

profesora Kilińskiego i mnie i wobec całego grona nauczycielskiego udzielił nam nagany: Kilińskiemu dlatego, że mojego referatu przed wygłoszeniem nie skontrolował, a mnie za to, że przemówienie takie wygłosiłem. Nagrodą dla mnie było ogłoszenie we wspomnianym dzienniku mojego nazwiska jako prelegenta oraz ostatniej zwrotki mojego wiersza, wygłoszonego na poranku.

W czasie moich studiów gimnazjalnych, choć nie zajmowałem się polityką, byłem świadkiem wielkiej – jak na owe czasy – sensacji politycznej. W sądzie karnym w Wadowicach rozgrywał się epilog jednego z epizodów walki rewolucyjnej w byłym Królestwie Polskim.

Odbывał się tu proces Wandy Krahelskiej-Dobrodzickiej o zamach na gubernatora Skałłona. Zamach ten wywołał wówczas w całym społeczeństwie polskim żywy oddźwięk sympatii oraz żalu z powodu tego, iż się oskarżonej nie powiódł. Zeznania wywarły na obecnej na rozprawie publiczności wielkie wrażenie, gdy oskarżona oświadczyła, że nie poczuwa się do winy, choć nie zaprzecza, że rzuciła bombę, by zabić Skałłona; on sam bowiem sprowokował wystąpienie bojówki PPS, gdy po wydaniu przez cara manifestu październikowego kazał strzelać do publiczności [...]

Lipiec 1910 roku zastał mnie na wakacjach u rodziców w Ślemieniu. Cały kraj przygotowywał się do obchodów pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Mój starszy o dwa lata kolega Jan Kijas rzucił myśl, aby i Ślemień uczcił rocznicę grunwaldzką choć skromnym pomnikiem. Myśl piękna, aby i wieś podkarpacka mogła się przyłączyć do wielkiej manifestacji, do jakiej przygotowywał się cały naród.

Kijas jako szóstklasista i ja jako czwartoklasista wzięliśmy się do pracy. Urządziliśmy zbiórkę po domach, aby zebrać jako taki fundusz na zakup materiałów budowlanych. Skromne były datki pieniężne, ale właściciele kamieniołomów ofiarowali za darmo kamień, zaś niektórzy gospodarze zobowiązali ten kamień bezpłatnie zawieźć. Stał więc skromny pomniczek tuż koło kościoła parafialnego,



Pomnik-kapliczka w Ślemieniu, na pamiątkę zwycięstwa grunwaldzkiego. Napis na pomniku: „Ku czci Świątobliwej Królowej Jadwigi”

zbudowany z kamienia ciosowego; we wnęce pomnika umieszczono obraz królowej Jadwigi, a poniżej marmurową płytę z odpowiednim napisem.

Po uroczystym nabożeństwie w kościele parafialnym przy dźwiękach orkiestry i patriotycznym przemówieniu odsłonięto pomnik na wieczną pamiątkę zwycięstwa nad gadem krzyżackim.

Rzecz dziwna – pomnik ten przetrwał I wojnę światową, a co dziwniejsze – przetrwał i II wojnę, mimo że Ślemień znalazł się w granicach Reichu. Bo o ile w Żywcu Niemcy obalili piękny pomnik grunwaldzki, w Ślemieniu odcieśli jedynie z pomnika mosiężnego orła polskiego; portret królowej Jadwigi i tablicę z napisami usunięto wcześniej. Sam zaś pomnik poświęcili Niemcy ku czci jakiejś swojej rocznicy. Po zakończeniu wojny pomnik odnowiono, orła dorobiono, ustawiono na nowo portret królowej Jadwigi i tablicę z dawnym napisem i dzięki opiece nad nim młodzieży wiejskiej pomnik stoi ku wiecznej pamięci pogromu niemieckiego.

Rok 1912 zaczyna zwiastować przybliżanie się czegoś nowego nie tylko w Austrii, ale na całym świecie. Aneksja Bośni i Hercegowiny powoduje już pierwszy pomruk I wojny światowej. Austria zarządza częściową mobilizację, zaś ugrupowania Związku Walki Czynnej zaczynają organizować kadry pierwszych oddziałów wojskowych.

* Zaczynamy i my w gimnazjum organizować przygotowania do ewentualnego wzięcia udziału w przyszłych zmaganiach. W koszarach wadowickich stacjonuje jeden batalion 56. pułku piechoty. W tychże koszarach w każdą sobotę po południu nasza organizacja studencka ćwiczy się we władaniu bronią pod kierownictwem przydzielonego przez dowództwo batalionu polskiego oficera. Widać, że już wtedy kiełkuje myśl u ówczesnych władz austriackich, że w razie wojny polskie oddziały staną po stronie Austrii.

Istnieją również w gimnazjum oddziały skautowe grupujące młodzież w kilku zastępach. Jestem komendantem, a raczej zastępowym jednego z zastępów. W „Sokole” tworzą się sokole drużyny polowe. Drużyny te od początku roku 1913 nosiły nazwę Stałych Drużyn Polowych. Cały okręg sokoli tworzył jeden pułk, dzielnice okręgów odpowiadały kompaniom (drużynom), które w czasie ćwiczeń polowych łączyły się w hufce odpowiadające batalionom. Ćwiczenia polowe i przemarsze drużyny wadowickiej zaczęły wywoływać zdziwienie, wkrótce jednak społeczeństwo z uznaniem patrzyło na nowe wojsko polskie, ofiarowało swoją materialną pomoc, a lokal drużyny w „Sokole” zaczął się zapełniać karabinami, bagnetami i innym sprzętem wojskowym.

W październiku 1912 roku z inicjatywy komendantów zastępów skautowych powstaje konspiracyjna Studencka Drużyna Strzelecka. Drużyna ta przechodziła identyczne przeszkolenie wojskowe jak Sokole Drużyny Polowe. Drużyna studencka posiadała własną autonomię, tworząc jedną kompanię, złożoną z trzech plutonów. Dowódcą jednego z trzech plutonów zostałem ja, kompanijnym został kolega Pyka, który zginął podczas I wojny światowej. Alarmy wojenne,

zapoczątkowane jesienią 1912 roku, umilkły, Austria ogłosiła demobilizację, choć sytuacja była wciąż napięta i czuło się, że świat stoi przed wielkimi i ważnymi wydarzeniami. Prace wojskowe prowadziliśmy dalej, będąc przekonani, że przecież doczekamy się dnia, gdy przyjdzie do światowego konfliktu, w którym będziemy musieli wziąć udział.

Tymczasem i w moim życiu osobistym nastąpiły pewne zmiany. Ukończyłem szóstą klasę gimnazjalną ze stopniem celującym, co miało wielkie znaczenie dla mojej przyszłości. Gdy byłem w klasie siódmej, Wydział Krajowy we Lwowie ogłosił konkurs na stypendium dla celującego ucznia, pochodzącego z okolic podkarpackich. Między innymi wniosłem i ja prośbę o nadanie mi tegoż stypendium, dołączając do niej mój życiorys oraz świadectwo z ukończonej szóstej klasy. Wielkiej nadziei jednak nie miałem. Jakże miło zaskoczyła mnie przeto wiadomość, otrzymana w czasie wakacji po skończeniu siódmej klasy od dyrektora gimnazjum, że Wydział Krajowy przyznał mi stypendium im. Ignacego Marynowskiego, w kwocie 400 koron rocznie aż do ukończenia studiów.

Po prostu nie mogłem uwierzyć w moje szczęście, tym bardziej że – według pisma dyrektora – stypendium przyznano już za rok poprzedni; mogłem więc natychmiast podjąć pierwsze 400 koron. Muszę dodać, że kwota 400 koron rocznie zapewniała mi całkowite roczne utrzymanie, gdyż w tym czasie płaciłem za stancję z całym utrzymaniem po 34 korony miesięcznie. Radość moja wywołała jednak łzy w oczach mojej matki i to nie łzy radości, lecz smutku, która wniosowała, że, skoro będę miał dostateczne środki na utrzymanie do końca studiów, nie pójdę już na teologię i nie zostanę księdzem (co było jej ciągłym marzeniem). Te łzy mojej matki i jej z tego powodu zgryzota ciążyły na mnie i jeszcze dziś, wracając czasem myślą do tych czasów, czuję żal, że byłem przyczyną jej zmartwień i smutku.

Gimnazjum ukończyłem w 1913 roku, zdawszy maturę z odznaczeniem. Zapisałem się na Wydział Prawa i Administracji UJ w Krakowie.

I tak z dniem 1 października 1913 roku zacząłem nowy okres życia.

Do druku podał Sylwester Dziki